

(Il Messaggero - M.Ferretti) Rzut karny wystany w gwiazdy przez specjalistę Caputo, w sobotę wieczorem w Empoli, był kolejną wskazówką. Wcześniej był gol Iago Falque anulowany w Turynie, z piłką, która przeszła mu niezgrabnie między nogami; anulowany gol Higuaina w Mediolanie, po tym jak opóźnił wyjście z bramki; słupek Chisbaha z Frosinone, z piłką, która wyszła z powrotem w boisko i dotknęła, nie uderzyła, jego pleców (w tym przypadku ryzyko samobója było równe 99 procent); słupek Bencaccera z wolnego ponownie w Empoli.

I jeśli chcecie również ta obrona (parada?) po strzale Basellego, ponownie w domu Torino, z piłką, która przełamała mu rękawice, zanim przeleciała ponad poprzeczką. Robin Olsen nigdy nie był i nigdy nie będzie najlepszym bramkarzem na świecie, ale na pewno w Romie szczęście nie odwróciło się (na razie) od niego. Nie pamięta się tak wielu epizodów z rzędu będących po własnej stronie jak te, których bohaterem w koszulce Giallorosich jest wysoki Szwed. To absolutnie nie wada, ale zaleta. Na miłość boską. Jak zapewniał Napoleon Bonaparte, lepsi są szczęśliwi niż dobrzy generałowie. To nie oznacza rzecz jasna, że Olsen nie jest dobry, gdyż tracone przez Romę bramki rzadko obciążały jego konto.

Oznacza to tylko analizę, zrozumienie, próbę lepszego poznania i oceny, mecz po meczu, bramkarza, który jeszcze kilka miesięcy temu był w tych stronach nieznany. Po fatalnym meczu w Bolonii Olsen wpuścił tylko jednego gola w czterech meczach i to wyłącznie z winy Fazio, który w derbach podał piłkę pod nogi Immobile. Trzy czyste konta jak w poprzednim sezonie, gdy między słupkami był Alisson. Porównywanie Olsena do Brazylijczyka nie robi dobrze nikomu, w pierwszej kolejności Romie. Robin, powtórzmy, nigdy nie będzie najlepszy ze wszystkich, ale z pewnością nie jest i nigdy nie będzie też kolejnym Goicoecheą.

Autor: abruzzo